

Rozmowa z
Grzegorzem Turnauem,
 krakowskim pianistą,
 kompozytorem i wokalistą



Fot. Rafał Nowakowski

Kiedy artysta jest znakiem towarowym

Czy światy prawników i artystów są sobie odległe?

Żeby odpowiedzieć, przytoczę anegdotę z filmu o Bobie Dylanie. Gdy stał się bardzo popularny, ktoś doradził mu: musisz mieć jakiegoś porządnego menedżera. Ale ktoś inny powiedział: *No, you need a lawyer* (nie, potrzebujesz prawnika). Potrzeba korzystania z prawników jest tak silnie związana z *show-businessem*, a zwłaszcza z przypadkami nagłej i niespodziewanej popularności, że muszę stwierdzić: nasze światy wcale nie są odległe. Mam wielu przyjaciół wśród prawników, ale rozmawiam z nimi o pogodzie czy muzyce, a rzadziej na tematy

związane z ich zawodem. Język prawniczy i ścisłość jego sformułowań, litera prawa pozbawiona poczucia humoru – to coś, co nie leży w mojej naturze.

Ale zetknął się pan nieraz z prawem autorskim...

Na szczęście, te spotkania były niezbyt dramatyczne. Nie muszę zatrudniać prawnika do organizacji każdego koncertu. Ale, oczywiście, od czasu do czasu korzystam z porad prawnych specjalistów od prawa autorskiego i własności intelektualnej. Nieraz miałem do czynienia z takimi zagadnieniami jak subtelności, nazwijmy to,

prawno-towarzystkie w przypadku spadkobierców. Nauczyłem się przy tym, że w umowach dotyczących praw autorskich i pokrewnych należy bardzo precyzyjnie formułować swoje oczekiwania i uważnie czytać to, co formułuje druga strona umowy albo jakie są restrykcje prawne przy pracy nad danym dziełem. Zdarzyło mi się, że producent tak sformułował umowę, iż mogłem zostać pozbawiony połowy honorarium. I to tylko dlatego, iż pewien zapis z 50-stronicowej umowy umożliwił taką interpretację drugiej stronie. Ten spór pomógł mi rozwikłać niezastąpiony profesor Ryszard Markiewicz – załatwił mi sprawę

polubownie. Ale pewien znajomy artysta, z reguły nieczytający umów, miał większy problem. Kontrakt z wytwórną płytową obligował go do nagrania w określonym terminie płyty. On o tym po prostu zapomniał, a płytę nagrał, ale dla innej firmy. Skończyło się nieprzyjemnie, bo w sądzie. Zresztą w naszych czasach artysta, jego imię i nazwisko stają się często znakami towarowymi.

To jak cenny jest znak towarowy „Grzegorz Turnau”, obecny w świadomości konsumentów od 20 lat?

Serio? Nie mam zielonego pojęcia, ale to się pewnie da policzyć na podstawie liczby koncertów, sprzedaży płyt, częstotliwości pojawiania się w mediach itd. Na pewno są stosowne tabelki. Ale to czysta abstrakcja. Nie wiem, gdzie kończy się moja własność intelektualna, a gdzie zaczyna wartość handlowa. To jest bardzo trudne do rozstrzygnięcia. Dlatego powstają spory na ten temat, jak choćby ten sprzed około roku, dotyczący festiwalu im. Marka Grechuty w Zamościu. „Marek Grechuta” to zastrzeżony znak towarowy. Pytano mnie wtedy o zdanie, co sądzę o cofnięciu zgody na wykorzystanie przez miasto Zamość nazwiska urodzonego tam Marka Grechuty jako patrona festiwalu muzycznego. Odpowiedziałem, że nic nie sądzę, bo nie wiem, gdzie jest granica między dziedzictwem kultury a prawami do spadku. I nie wiem do dziś.

Często nagrywa pan piosenki z innymi znanymi wykonawcami jak Aga Zaryan, Stanisław Soyka czy Zakopower. To też cenne „znaki towarowe”. Czy bywa tak, że ustala pan z innym artystą, kto którą zwrotkę śpiewa, a za ścianą wasi prawnicy ustalają podział tantiem?

(śmiej) Absolutnie nie. Gdy decydujemy się na współpracę, to przede wszystkim ze względów artystycznych. Tantiemy z nagrań w polskich realiach są tak symboliczne, że trudno je traktować jako poważne dochody, więc nie ma tu mowy o jakimś podziale łupów ani o angażowaniu do tego sztabu prawników. Oczywiście, menedżerowie podpisują stosowne, jednorazowe umowy licencyjne, ale artyści muszą zadowolić się głównie tym, co im wypłaca stowarzyszenia ochrony praw wykonawczych. Raz tylko zdarzyło się, że nagrałem z pewną artystką płytę, która okazała się nadspodziewanym sukcesem, a potem jej producent wynegocjował ze mną obniżenie moich tantiem. Zgodziłem się na to dla

świętego spokoju, inaczej zanudziłby mnie na śmierć. Natomiast między samymi artystami raczej nie ma dyskusji o finansach.

Rok temu media obiegała wieść „znany krakowski artysta Grzegorz T. trafił do pudła”. Dzień później okazało się, że chodzi o akcję rozsyłania paczek świątecznych dla ubogich. Pan wziął w niej udział, dla szczytnych celów rzeczywiście chowając się w dużym pudełku, co stanowiło główny motyw klipu promującego akcję. Dobroczynność też łączy artystów i prawników?

Chyba czasem warto oderwać się od swoich spraw, by pomóc innym. Oczywiście, pod warunkiem, że taka pomoc będzie skuteczna. Przy tej akcji nie miałem żadnych wątpliwości. Zdarzają się aukcje czy bale charytatywne, gdzie dobre samopoczucie organizatorów przeważa nad efektem, ale tutaj było wszystko na medal. Wraz z pomysłodawcami akcji bardzo pilnowaliśmy, by w hasło o tym, że trafiłem „do pudła” nie było fałszywej informacji w świetle prawa prasowego. Ani jedno zdanie w tym komunikacie nie miało się z prawdą. Nie można było z tego wprost wnioskować, że zostałem aresztowany, ale przyznaję, że była to ostra prowokacja medialna.

Wcale bym się nie zdziwił, gdyby jakiś prawnik, agresywnie pozyskujący klientów, zaproponował panu swoje usługi polegające na wyciągnięciu z za krat. Takie przypadki nie są rzadkie.

Odebrałem wtedy kilkanaście telefonów od zaniepokojonych przyjaciół, którzy chcieli jakoś pomóc. Było mi przykro, że zrobiłem ich w konia *pro publico bono*. Ale oferty pomocy prawnej się nie zdarzyły. W ogóle, poza ekspertami prawa autorskiego zdarzyło mi się korzystać jedynie z usług reagenta.

Niektórzy prawnicy uciekają się do takich metod, choć to naganne etycznie. Może powinni pomyśleć o czymś innym albo wziąć przykład z pana. Wspomniał pan kiedyś, że jeśli skończyłby pan z muzyką, to zajęłby się pan uprawą cebuli...

Tak, najchętniej słodkiej cebulki – szalotki (śmiej). Chyba prawnicy mają o tyle łatwiej, że jeśli nie czują się dobrze w tym, co robią, mogą zmienić specjalizację albo zrobić coś luźno związanego z prawem.

Ciekawe, co czuje młody prawnik, rozczarowany trudnym rynkiem, gdy słucha

popularnej ostatnio pańskiej piosenki ze słowami „nim napiszesz wiersz, pomyśl i zważ, jak dalece słuszny to krok i czy naprawdę masz czas”?

Pisałem ten tekst z poczuciem, że niekoniecznie każdy musi na siłę zostawiać artystyczny ślad po sobie. Być może, ktoś inny zrobił to już lepiej. Była to bardziej „autoreprimenda” niż recepta na życie dla innych ludzi. Ale, oczywiście, każdy powinien się czasem zastanawiać, czy właściwie wybrał i czy zmiana zawodu nie jest dobrym pomysłem. Takie przepoczwarczenie nie jest łatwe. Jednak wielu znanych pisarzy dochodziło do wniosku, że z samego pisania nie da się żyć. Przecież i Słowacki, i Gombrowicz, i Herbert pracowali w bankach. Sam mam w rodzinie naukowca, który osiągnął sukces jako rolnik i sam się tego zawodu nauczył. Myślę, że w każdym zawodzie trzeba mieć dystans do siebie i tego, co się robi. Zacytuję tu Wisławę Szymborską: pisarz powinien mieć w domu duży kosz na śmiecie. I chyba nie tylko poetów czy muzyków to dotyczy.

To zacytuję jeszcze inną pańską piosenkę: „jestem pyłkiem, ale na wyjściowej marynarce świata”. Warto być skromnym, ale porządnym i robić swoje?

Nie jestem pewien, czy ta myśl Andrzeja Poniedziałkiego rzeczywiście wyraża skromność (śmiej). Ale faktycznie, jeśli mamy w domu ów kosz, możemy niejednemu błędowi uniknąć. Po latach może się

Grzegorz Turnau (ur. 1967) – krakowski pianista, kompozytor, wokalista. Ma na koncie wiele przebojów, m.in. „Bracka”, „Naprawdę nie dzieje się nic”, „Cichosza”, „Między ciszą a ciszą”. Jego najnowsza, piętnastą już płytą jest wydany w 2011 r. koncertowy album „Och! Turnau Och-Teatr”.

okazać, że była to dobra metoda. Będziemy pyłkiem, ale w dobrym miejscu. Ten tekst, podobnie jak inne z płyty „Ultima”, dotyczy spraw ostatecznych i wyboru drogi życiowej. Pewnie czasem warto się nad tym zastanowić. Ale i tak większość naszych wyborów to przypadek. ■

Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał
Paweł Rochowicz